

Andrzej Fabianowski

Franciszek Kowalski - pamiętnikarz Krzemieńca

Rocznik Towarzystwa Literackiego imienia Adama Mickiewicza 40, 113-124

2005

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Andrzej Fabianowski

FRANCISZEK KOWALSKI – PAMIĘTNIKARZ KRZEMIENÇA

Franciszek Kowalski w wieku XIX zasłynął jako tłumacz, a właściwie autor spolszczeń komedii Moliera, które wydawał w latach 1821–1824. Jednak gdy pojawiły się kongenialne przekłady Boya, prace Kowalskiego spoczyły już tylko na półkach bibliotek. Dla współczesnego czytelnika wręcz egzotycznie brzmią takie tytuły, jak *Przekory miłosne*, *Miłość doktorem*, *Grzegorz Fafuła* czy *Mieszczanin szlachcic*. Ale w okresie rozbiorowym, od 1821 roku ze wszystkich scen polskich Molier rozbrzmiewał słowami Kowalskiego.

Bardziej łaskawie, choć nie bez ironii, los obszedł się z jego dorobkiem poetyckim. A ściślej z jednym tylko utworem, *Ulanem na wedecie*. Oderwany w społecznej świadomości od nazwiska autora tekst piosenki z okresu powstania listopadowego należy obecnie do żelaznego repertuaru polskich pieśni biesiadnych. Tymczasem utwór ten pochodzi z zespołu kilkudziesięciu wierszy, stanowiących popularną, piosenkową kronikę powstania. Franciszek Kowalski wziął udział w powstaniu. Walczył jako podoficer w Legii Litewsko-Wołyńskiej. W 1831 roku w Warszawie ukazał się tomik wierszy pt. *Miecz i lutnia, czyli śpiewy wolności wolnego Polaka, przez... tłumacza Moliera*. Pozostałe utwory poetyckie pisane w okresie powstania pozostają do dziś w rękopisie. Manuskrypt Kowalskiego podzielony został przez autora na pięć „oddziałów”. W pierwszym mowa jest o wydarzeniach od wybuchu powstania do bitwy pod Wawrem w marcu 1831 roku. Drugi obejmuje okres do oblężenia Zamościa w lipcu 1831, trzeci jest relacją z oblężenia Zamościa aż do poddania się twierdzy 22 października 1831, czwarty mówi o pobycie w niewoli (listopad 1831 – wrzesień 1832), piąty poeta nazwał *Po wyjściu z niewoli moskiewskiej na niby-wolność*¹.

Dorobek poetycki Kowalskiego uzupełnia udramatyzowany poemat *Tymon* – niedokończona biografia krzemieńczyka, poety, Tymona Zaborowskiego oraz kilkadziesiąt wierszy okazjonalnych, pisanych z okazji imienin lub urodzin członków rodziny i przyjaciół, trochę wierszy sztambuchowych. Zebrane one zostały w tomie *Fraszki* i wydane we Lwowie, w 1839 roku².

Kowalski jako liryk jest poetą przełomu. W jakimś stopniu uległ powszechnej po debiucie Mickiewicza balladomanii. Nie naśladował jednak niewolniczo, jak większość wierszokletów w latach dwudziestych, *Ballad i romansów*. W balladzie pt. *Letarg* przedstawił dzieje nieszczęśliwej miłości Wacława. Nieodwzajemnione uczucie doprowadziło go do śmierci. Ale ta śmierć uświadomiła jego ukochanej, że nie było dla niej droższej od Wacława osoby. Kiedy próbowała objąć spoczywające na katafalku w kościele ciało ukochanego, okazało się, że nie umarł on był, lecz spoczywał tylko (zdarzało się to nie tak znowu rzadko) w letargu. Ocknął się, odwzajemnił uścisk ukochanej i – korzystając z miejsca akcji, czyli z kościelnego wnętrza – wziął z nią od razu ślub³. Swoje ballady zaprawiał więc Kowalski szczyptą ironii, autorskim dystansem wobec świata przedstawionego. Na przykład w balladzie pt. *Kiszka* wykorzystał fabułę z baśni braci Grimm *Trzy życzenia*, ale jednocześnie uczynił ją pretekstem do ilustracji porzekadła, że biednemu zawsze wiatr w oczy wieje.

Był to sobie dziad i baba,
Baba Anna, dziad Barnaba;
Żyli zgodnie i pocziwie,
Ale bardzo nieszczęśliwie,
Bo pocziwość źle popłaca
I pocziwych los ugniata.⁴

W podobnym, nieco sarkastycznym tonie, utrzymane są utwory, w jakich wykorzystany zostaje topos nieszczęśliwego w miłości „chudego literata”⁵ oraz refleksje nad przemianami wartości współczesnego społeczeństwa. Kowalski przekonuje, że nie popłaca obecnie ani praca twórcza, ani nawet zalety umysłu, identyfikowane dawniej z wiedzą i postawą filozoficzną. Nawiązując żartobliwie do motywu Diogeneusza, mieszkającego w beczce, w wierszu *Do Stanisława S***** pisze:

Dzisiaj, za pozwoleniem, niech mi kto chce bredzi
Szczęśliwy kto nie w beczce, lecz na beczce siedzi.⁶

W jakimś stopniu wiersze Kowalskiego były w tamtym czasie jednak anachroniczne, ożywiały bowiem przebrzmiałą już poetykę rokokowego konceptu, ale w pewnym stopniu były też nowatorskie, zapowiadając dziewiętnastowieczną modę biedermeieru, salonowej gry konwencją, poetyckiej zabawy. Poprzez tę konwencjonalność z trudem przebijają się u Kowalskiego refleksje bardziej osobiste, szczerze, jak w wierszu *Rozmyślenia przy fajeczce*, w którym ulotność tytoniowego dymu staje się dla poety kolejno figurą ulotności ludzkich marzeń i projektów, wanitatywnej koncepcji całego życia, wreszcie znakiem nietrwałości dzieł ludzkich w historii⁷.

Pisał także Kowalski powiastki dydaktyczne, np. *Złote ziarna. Powieści dla zabawy i nauki dzieci* (Lwów 1841) albo *Wiązanie Bronia. Powiastki obyczajowe dla młodych chłopców* (Wilno 1852). Utwory dla dzieci wyrosły z doświadczeń podstawowego zajęcia, będącego zarazem źródłem utrzymania Kowalskiego – z pracy nauczycielskiej. A nauczycielem był wziętym, jak wszyscy uczniowie i absolwenci Liceum w Krzemieńcu. Musiał także po śmierci żony, Antoniny Jagiełłowiczówny, radzić sobie w pojedynkę z sześciorgiem małych dzieci!

Franciszek Kowalski stworzył jeszcze popularne w XIX wieku *Legendy herbowe* (wydane w Żytomierzu w 1862). Korzystając z motywów zaczerpniętych z herbarzy (przede wszystkim Paprockiego), ale także wierszy herbowych Wacława Potockiego, stworzył liczącą prawie sto wierszy, fragmentaryczną, bo opartą o anegdoty herbowe, kronikę dziejów Polski Piastów o wyraźnie dydaktycznym charakterze – gdyż głównym jego celem było ukazanie heroizmu i patriotyzmu dalekich przodków współczesnej szlachty. W swych narracjach historycznych jest Kowalski raczej uczniem Juliana Ursyna Niemcewicza i jego *Śpiewów historycznych* niż wielkich romantyków, dla których historia stawiała się figurą współczesności. Trzeba jednak zaznaczyć pewien demokratyzm *Legend herbowych*. Otóż rycerski heroizm cechować może także kmiotków (np. dzieje herbu *Cholewa*⁸), a nie tylko wojów z otoczenia książęcego lub królewskiego.

Najważniejszą pozycją w twórczości Kowalskiego okazały się spisywane w ostatnich latach życia, gdy pracował już jako archiwista Potockich w Tulczynie, *Wspomnienia (1819–1823.)* Jest to barwnie opowiedziana, choć nie zawsze zgodna z prawdą (pamięć już autora zawodziła) gawęda – hymn na cześć szkoły, która ukształtowała charakter i dała głęboką wiedzę tysiącom Polaków, żyła dalej w ich przekazach, a gdy wśród żywych zabrakło już prawdziwych krzemieńczan, trwała dalej jako mit, jako świadectwo – użyjmy pięknej formuły Ryszarda Przybylskiego – „rozsądku zwyciężonych”⁹.

Fragmenty *Wspomnień* ukazywały się początkowo na łamach prasy („Gazeta Warszawska” 1854–1855; „Biblioteka Warszawska” 1857). Całość wydano osobno w Kijowie w 1859, a wznowiono także w Kijowie w 1912 roku. Druga edycja kijowska była jak dotąd ostatnim wydaniem *Wspomnień*.

Można więc powiedzieć, że cztery lata spędzone w Krzemieńcu wyznaczyły bieg życia Franciszka Kowalskiego. Był on dzieckiem Podola. Urodził się w 1799 roku w Pawołoczy na Ukrainie, w niezamożnej rodzinie szlacheckiej jako syn Jana i Agnieszki z Ruszkowskich. W latach 1810–1818 uczył się w gimnazjum w Winnicy, potem przez rok mieszkał u przyjaciół w Wasylówce, a w 1819 roku rozpoczął swą przygodę z Krzemieńcem. Już w dzieciństwie poczuł wenę poetycką, która objawiała się w niezwyklej łatwości rymowania. Gdy nauczyciele gimnazjalni zadawali uczniom napisanie wierszy, Kowalski bez większego trudu obsługi-

wał całą klasę, pisząc każdemu uczniowi inny utwór. Często słyszał więc prośbę: „Kowalu, kowalu, ukuj mi wiersze, dam ci funt dobrego tytoniu”¹⁰. Były to – rzecz jasna – wiersze klasycystyczne, najeżone peryfrazami i odwołaniami do mitologii. O romantyzmie nikomu się jeszcze wtedy nie śniło. Ale ta łatwość rymotwórcza zgubiła na zawsze Kowalskiego jako artystę. „Robienie wierszy” wyprzedzało u niego bowiem zawsze refleksję nad wierszem, rymowanie skutecznie eliminowało pytanie o sens rymowania, stukot rytmu wiersza zagłuszał prawdziwą wrażliwość artystyczną. Z tego mankamentu swej twórczości zdał sobie Kowalski sprawę jeszcze w Wasylówce i wczesne rękopisy poetyckie oddał jako podkłádki do wypieku bab wielkanocnych (s. 30 i n.).

Do Liceum Wołyńskiego trafił więc młody poeta ukształtowany w duchu klasycystycznym, pełen szacunku dla oświeceniowego rozumu i poczucia wyższości wobec innych sposobów objaśniania świata. Pierwsze wrażenia z Krzemieńca ukazują miasto jako miejsce niezwykle. „Spoczywa ono w głębi wąwozu, otoczone romantycznymi skałami” (s. 76). Ateny Wołyńskie jawiły się więc jako synteza przybytku nauki i nieujarzmionej, może nawet groźnej, niepoddającej się rygorom przyrody.

Niezwykła też była szkoła. Jeszcze wtedy, gdy dotarł do niej Kowalski, żyła ideami zaszczepionymi kilkanaście lat wcześniej przez swych założycieli. Ale niezwykłość szkoły budowali też uczniowie, utalentowani, obdarzeni fantazją, dalecy od formalnego rygoryzmu. Jednym z nich był poeta, Tymon Zaborowski. Zmarły przedwcześnie w tragicznych okolicznościach twórca był równolatkiem Kowalskiego. Ale w Krzemieńcu uczył się nieco wcześniej i gdy do Liceum trafił Kowalski, Tymon stał się już szkolną legendą. Niezwykłą aurę wokół jego postaci Kowalski starał się oddać w poemacie *Tymon*, pisany w latach czterdziestych i opublikowanym we fragmentach na łamach wydawanego przez Józefa Ignacego Kraszewskiego w Wilnie „Athenaeum”. Już w I części utworu Tymon ukazany zostaje jako osobowość niezwykle. Przekonuje o tym rozmowa z matką, w której mały Tymonek zwierza się, iż chciałby być ptakiem:

A ja, obleciawszy cały świat dokoła,
Aż na samo niebo wskoczę błyskawicą,
Tam gdzie słońce błyszczący, gdzie gwiazdeczki świecą.¹¹

W kolejnej części udramatyzowanego poematu czytelnik przeniesiony zostaje do Krzemieńca (choć nazwa samego miasta w tekście nie pojawia się). Tymonek jest teraz przywódcą dziecięcej grupy; pod jego wodzą uczniowie robią różne psoty, np. zakupują w śniegu podręczniki do gramatyki łacińskiej, żeby się nie uczyć tego przedmiotu. Innym razem zimą, na tęgim mrozie o świcie sam Tymonek obkłada polanami i oblewa wodą dzwonek szkolny. Zamrożony dzwonek nie

dzwoni, a lekcje nie mogą się zacząć ku uciesze szkolnej młodzi (to zapewne wtedy dzwonek pękł i od tej pory wydawał ów niezwykle, chrapliwy dźwięk). Apogeeum psot stanowiła jednak niebezpieczna wyprawa po gołębie, które zagnieździły się w szkolnej wieży, zakończona marszem dokozy obu chłopców: Tymonka i jego przyjaciela, Spirydiona¹².

Część III utworu w panoramicznej perspektywie ukazuje solidarność młodzieży szkolnej w obronie pokrzywdzonych.

Jak rozłożone wojsko w obozy,
 Studenci tłumnie opanowali
 Dziedziniec szkolny, i u drzwikozy
 Pana Prefekta głośno wołali.
 Aż uproszony, nie bez chymerów,
 Wypuścił zkozy dwóch bohaterów.¹³

Uwolniony Tymon opowiada, że balansując nad przepaścią na kruchej, wysuniętej przez okno desce, nie myślał już o gołębiach – celu wyprawy – lecz czuł wyraźnie (gdy widzowie na dole truchleli ze strachu), że wchodzi w niebo i jednoczy się z niebiańską sferą. Akcja podniebna miała więc dla niego charakter transgresji, przekroczenia uwarunkowań zwykłego, ziemskiego bytowania. A przekroczenie takie dane jest tylko wybrańcom bogów.

W czasach krzemienieckiej nauki Franciszka Kowalskiego w szkole nie brakło innych oryginałów i uczniów niezwykle utalentowanych. Ich rozwojowi intelektualnemu sprzyjało wyjątkowo bogate wyposażenie „gabinetów naukowych”: sali „fizycznej, chemicznej, numizmatycznej i mineralogicznej” (s. 77). Gdyby – powiada Kowalski – utworzono jeszcze katedrę medycyny, Liceum mogłoby stać się uniwersytetem (s. 77). Sam układ sal dydaktyczno-naukowych w budynku Liceum oparty był na zasadach logicznego, racjonalnego myślenia. W ośmiokątnej wieży bocznej zlokalizowano obserwatorium astronomiczne, poniżej mieściła się sala muzyczna, nieopodal bogato zaopatrzona biblioteka. „A wszystkie pełne były uczących się i ciekawych gości, a wszystkich uczniów i gości obwijał jedenże duch – nauki” (s. 77). Za gmachem licealnym wznosiła się góra Wołowica, którą uczniowie – z racji jej trzech wierzchołków – nazywali Cerberem. Stała ona na straży tego wyjątkowego przybytku wiedzy i wychowania.

Jednak na kształtowanie młodzieży nie mniejszy wpływ wywierała serdeczna, rodzinna nieomal atmosfera panująca w szkole. Kowalski notuje zasłyszana relację, w której stary już Czacki na tarasie przed kościołem grał z malcami w piłkę tak intensywnie, że potem długo musiał odpoczywać (s. 79). Zresztą założyciel Gimnazjum Wołyńskiego chwycił się wszelkich sposobów, aby zachęcić młodzież do pracy. Zapraszał raz w miesiącu w sobotę najlepszych uczniów na tańce do włas-

nego domu. Przez cały miesiąc trwała więc zawzięta rywalizacja o uzyskanie tego wyróżnienia (s. 80). Ta rodzinna, pełna życzliwości atmosfera panująca w Liceum sprzyjała też zawiązywaniu nauczycielskich klanów. Taki klan tworzyli np. bracia Jarkowscy: Antoni – surowy, ale sprawiedliwy i kochany prefekt Liceum, Paweł – zachęcający do lektur bibliotekarz oraz Wojciech – wykładowca niższej matematyki i geometrii (s. 83–84).

Gdy Kowalski rozpoczynał edukację w Krzemieńcu, dyrektorem Liceum był Alojzy Osiński. Obok zajęć dyrektorskich wykładał on dwa razy w tygodniu historię literatury polskiej (s. 81). Adaptację w Liceum na pewno ułatwiał Kowalskiemu kontakt z profesorami, pracującymi wcześniej w gimnazjum w Winnicy: historykiem Józefem Uldyńskim i chemikiem Stefanem Zienowiczem. Wielkim autorytetem dla uczniów był także ksiądz Prokop Krzywicki, znakomity kaznodzieja, sprowadzony do Krzemieńca z Winnicy przez Czackiego (s. 88 i n.). Najbardziej bezpośredni „kontakt z Europą” zapewniali nauczyciele i artyści z zagranicy. Oddajmy głos Kowalskiemu:

Pełno było prywatnych nauczycieli Francuzów, Niemców, Włochów; dwóch Anglików i dwóch wyborych rysowników suchymi farbami na papierze; Zeidlitz rysował pyszne krajobrazy, Larius same kwiaty. Bellini, sławny gracz w szachy, Castelli, Millo dobry gitarzysta, uczyli języków włoskiego i francuskiego. Akerman [...] był jak sklep norymberski, nie było nauki i języka, licząc w to i języki starożytne, którego by nie umiał (s. 97).

Przybyszom z zagranicy sekundowali Polacy. Niech jeszcze raz przemówi Kowalski:

Stanisław Grabowski znany ze swego humorystycznego dowcipu, najlepszym był fortepianistą; po nim Chudoba, Lemoch, Szejt; Lahure grał pięknie na arfie, uczył i sam robił arfy cenione i płacone czasem po dwieście dukatów (s. 97).

Atmosfera nauki w Krzemieńcu łączyła się harmonijnie, w duchu klasycystycznym, z literaturą i sztuką. Dla uczniów wyższych kursów utworzono „towarzystwo piszących”, w swej strukturze wzorowane na warszawskim Towarzystwie Przyjaciół Nauk (s. 130). Pretendenci do tego prestiżowego gremium zgłaszali się anonimowo, ich nazwiska musiały być „opieczętowane”, a specjalna komisja po zapoznaniu się ze złożonymi pracami literackimi przyjmowała bądź odrzucała poszczególnych kandydatów. „Towarzystwo piszących” miało nawet własny periodyk – zatytułowany „Ćwiczenia Naukowe”, wydawany u Glücksberga w Warszawie (s. 131).

Kulminacją roku nauki były egzaminy publiczne, odbywające się w obecności wizytatorów z Uniwersytetu Wileńskiego. Nie było egzaminów poprawkowych, a zatem niezdanie danego egzaminu równało się powtarzaniu całego kursu (s. 132–133). Za to najlepszych uczniów honorowano medalami i specjalnymi dy-

plomami. W gronie tym znalazł się jeden z żydowskich uczniów, niejaki Ettinger, który otrzymał najwyższą nagrodę szkolną – złoty medal za wybitne wyniki w nauce (s. 134). Warto bowiem pamiętać, że uczniami Liceum w Krzemieńcu byli też Żydzi. Panował tu wciąż tolerancyjny duch Tadeusza Czackiego, który przecież opublikował obszerną monografię kultury żydowskiej i karaimskiej w Polsce¹⁴ i zdecydowanie przeciwstawiał się jakiemukolwiek wyróżnianiu uczniów ze względu na ich wyznanie czy stan majątkowy.

W Krzemieńcu toczyło się też bogate życie kulturalne. Artyści zdążający np. do Kijowa by uświetnić kontrakty, zawadzali po drodze o Krzemieniec. Kilka dni bawiła tam legendarna wokalistka światowej sławy Angelica Catalani (nota bene: Kowalski chyba nie wiedział, że Catalani w 1820 roku jako pierwsza wysypała garść ziemi na Kopiec Kościuszki w Krakowie). Wprawdzie graniczący z bałwochwalstwem zachwyt dla jej sztuki irytował wielu ludzi (m.in. Stanisława Worcella, który opublikował na ten temat złośliwy artykuł w „Wiadomościach Brukowych” – s. 100), ale jednomyślnie podziwiano przekraczającą trzy oktawy skalę głosu artystki oraz precyzję i czystość emisji dźwięku w brawurowych pasażach. Kowalski wspomina też zabawną plotkę o Anglikach, którzy, przypuszczając że tajemnica fenomenu Catalani ukryta jest w „szczególniejszej budowie jej gardziela” (s. 101), ów „gardziel” od śpiewaczki odkupili. Od tej pory wszędzie towarzyszył jej Anglik, który – w wypadku śmierci wokalistki – miał ów organ z niej wyciąć i zabezpieczyć do dalszych badań. Anegdota ta oddaje nie tylko aurę krzemienieckiej szkoły, ale też właściwą tamtym czasom wiarę w możliwość empirycznej weryfikacji każdego cudu natury. Taką właśnie postawę wykpił Mickiewicz skierowanymi do Księdza słowami Gustawa w IV części *Dziadów*: „Każdy cud chcesz tłumaczyć; biegnij do rozumu...”¹⁵. To już jednak nieco późniejsza historia.

Z życiem kulturalnym spletało się ożywione życie towarzyskie. We *Wspomnieniach* Kowalskiego znajdujemy zabawny opis pracowni malarskiej Bonawentury Klembowskiego, który był asystentem Pitschmana. W pracowni panuje piramidalny bałagan, coś więcej, niż zwykły, artystyczny nieład. Ale nikomu to nie przeszkadza: studenci podziwiają prace malarskie gospodarza, potem zachwycają się portretem olejnym Czackiego namalowanym przez Ksawerego Jana Kaniewskiego¹⁶, a obecni na spotkaniu muzycy spontanicznie tworzą kwartet, by zagrać Mozarta (s. 108 i n.).

Szczególnym świętem krzemienieckich uczniów był dzień 1 maja. Odbywała się wtedy studencka majówka, będąca manifestacją jedności wszystkich uczniów, wykładowców i całego miasta. Wiele godzin bawiono się i tańczono na błoniach nad Ikwą (s. 125–126). Ale nawet wesołe majówki w najmniejszym stopniu nie mogły równać się z wspaniałością krzemienieckiego karnawału. Kowalski z rozrzewnieniem wspomina szczególnie przepych ostatniej, wtorkowej zabawy w kar-

nawale 1820 roku. W iluminację miasta włączono nawet Górę Zamkową, która „stojąc wprost Liceum jak potężna piramida, jaśniała oświecona smolnymi beczkami, których płomienie i dymy wśród czarnej nocy czyniły ją podobną do Wezuwiusza” (s. 103).

Wspomnienia Franciszka Kowalskiego podzielić można na dwie duże części: pierwsza z nich, po introdukcji dotyczącej rocznych przygotowań do podjęcia nauki w Krzemieńcu, poświęcona jest samemu Liceum i miastu; druga stanowi opis wędrówek po Wołyniu, Podolu i Polesiu. Te wędrówki zawsze jednak podsyte są Krzemieńcem – Kowalski wszędzie spotyka bądź znajomych ze szkoły, bądź znajomych tych znajomych. Rozstanie z Krzemieńcem i szkolnym okresem życia jest więc właściwie tylko wejściem w nowy krąg krzemienieckiej emanacji. Grono absolwentów stanowi prawie rodzinę, na której solidarną pomoc może liczyć każdy z jej członków. „Bracia rodzeni – czytamy we *Wspomnieniach* – nie mogą mieć ku sobie więcej, a często tyle przywiązania, co koledzy szkolni krzemienieccy, bez względu na różnicę stanu, bez względu czy jeden jest synem ubożego człowieka a drugi dziedzica bogatych włości.” (s. 192). Dalej przyznaje Kowalski, że wiele razy korzystał z pomocy „pocziwych koleżków krzemienieckich” (s. 192).

Ale nie chodziło tu tylko o koleżeństwo. Stygmat Krzemieńca był w tamtych czasach rozpoznawalnym dla każdego znakiem człowieka o poglądach patriotycznych, ale nie zaściankowych; religijnego, ale dalekiego od dewocji; wrażliwego na piękno, ale nie zacierzwionego w uznaniu jakiegoś konkretnego, jedyne wcielenia tego piękna, a wreszcie świetnie wykształconego i umiejącego dzielić się swoją wiedzą. Oświeceniowy, klasycystyczny w istocie wzorzec edukacyjny Liceum nie przeszkadzał więc swym absolwentom wtapiać się i współtworzyć nowy, romantyczny typ literatury.

Przyjrzyjmy się jeszcze wysokiej randze matematyki w Liceum Krzemienieckim. „Literat, poeta, historyk musiał ją [matematykę] – pisze Kowalski – umieć koniecznie, gdyż inaczej nigdzie żadnej promocji otrzymać nie mógł; a w życiu praktycznym, w świecie, matematyka wówczas daleko większą niż dziś, grała rolę” (s. 85). A nie chodziło tu przecież o proste rachunki, które zawsze przydatne były w życiu codziennym, lecz raczej o gimnastykę umysłu. Kowalski wspomina, że dokumenty Krzemieńczyka były najlepszą rekomendacją do uzyskania lekcji prywatnych. Obok wspomnianego już Wojciecha Jarkowskiego algebry uczył Grzegorz Hreczyna, a matematyki wyższej Jan Wyżewski (s. 84). Kowalski – chociaż poeta – poznał dobrze matematykę, której uczył w 1828 roku w Warszawie przyszłego filozofa Augusta Cieszkowskiego (s. 85).

W tym aspekcie interesująca jest też relacja pamiętnikarza z wakacyjnego spotkania z hr. Aleksandrem Chodkiewiczem w jego majątku Młynów na północnym

Wołyniu. Hrabia był zapalonym chemikiem i wojażującym uczniom Liceum „scjentyście” mówił o „sile tajemnic natury” (s. 168 i n.). Kowalski z rozrzewaniem wspomina, że „hr. Aleksander Chodkiewicz był ze szczupłej liczby magnatów uczonych, których nauki są żywiołem a książki bogactwem” (s. 173). Ciekawe, że ten uczonego fizyk i chemik nie był wcale zwolennikiem sztuki klasycystycznej. Uważał bowiem, że w literaturze, jak i w świecie natury, poszukiwać trzeba prawdy, a dzieła wciśnięte w ciasny gorset prawideł nie mogą oddać złożonej prawdy życia (s. 173 i n.).

Kowalski wspomina też – nieco fantazując – o spotkaniu z Antonim Malczewskim podczas wakacji spędzanych w 1822 roku w Niskieniczach. Pamiętnikarz zwierza się, że spotkanie to wywarło na nim wielkie wrażenie, jako że czytał już *Marię* w rękopisie. Jest to ewidentna nieprawda: mogło chodzić co najwyżej o jakieś fragmenty albo wręcz inne teksty Malczewskiego. Z perspektywy historycznoliterackiej ciekawsze jest jednak to, że owo spotkanie stało się katalizatorem zmiany gustu z klasycznego na romantyczny. Przywołajmy słowa Antoniego Malczewskiego tak, jak zapamiętał je Kowalski:

Dobrze jest – mówił mi prawie tymi słowy – że się pan wzięłeś do tłumaczenia Moliera, gdyż on w samej rzeczy jest ojcem nowej komedii i niewyczerpanym źródłem dowcipu: ale byłoby daleko lepiej, gdybyście wy, młodzi poeci, nie szli za Francuzami, nie trzymali się ich niewolniczo, nie myśleli ich myślami, nie patrzyli ich oczyma i nie przeszczepiali obcych nam obyczajów na naszą ziemię: ale gdybyście z własnych kopalni dobywali własne, niewyczerpane bogactwa, których nie znacie albo znać nie umiecie. Dotąd jeszcze się u nas wlecze mdława, małpiarska, Stanisławowska literatura; same tłumaczenia i naśladowania: a czyż nie czas, abyśmy o własnych siłach sami już chodzić mogli? (s. 162).

Dziwnie brzmi w ustach Malczewskiego ten zwrot „wy, młodzi poeci”. W końcu Kowalski młodszy był od autora *Marii* zaledwie o sześć lat! A jak wielka dzieliła obu twórców różnica talentu, rozumienia literatury, jej źródeł i wyznaczników artysty!

Kowalski musiał już zdawać sobie sprawę z własnych braków, toteż jadąc do Stanisława Starzyńskiego z Zamiechowa na Podolu (autora popularnych w XIX wieku tekstów pieśni i piosenek, porównywanych z twórczością Bérangera), marzył o dobrze zaopatrzonej bibliotece pełnej dzieł niemieckich, szczególnie zaś Goethego i Schillera, które umożliwiłyby mu zapoznanie się z nową szkołą w poezji (s. 194). Romantyzm narzucał się zresztą w każdym fragmencie ukraińskiej rzeczywistości, pełnej poczciwych dziwaków i niezwykłych oryginałów. Już wspólnie ze Starzyńskim Kowalski uczestniczył w obchodach Święta Cerery 15 sierpnia w dobrach hr. Jaksy Ścibora Marchockiego. Wspomina, że „bractwo śpiewało psalmy Dawida, które sam hr. Ścibor z oryginału hebrajskiego po polsku wytłumaczył, śpiewał i bractwo mińkowieckie śpiewać nauczył” (s. 229).

Innym świadectwem przełomu jest relacja z rautu w Berdyczowie (podczas jarmarku), na którym wybuchł gorący spór o artystyczną wartość poezji Mickiewicza. Kowalski przyznaje, że z I tomem *Poezji* zapoznał się jeszcze w Krzemieńcu (s. 311 i n.) i bardzo wysoko ocenił talent Mickiewicza. Ale na urodę litewskich ballad burzliwie zareagował „wierszorób” (jak sam siebie nazywał) Starzyński:

„Powiadam ci – wołał «polski Béranger» – to rozpacz, desperacja, wszystkich poetów, wszystkich jak my, wierszorobów!... Wydarł mi pióro z ręki!... nie! nigdy w życiu nie będę pisał ballad! [...] Wszystkich poetów, tak zwanych wieszczów zabił, zamordował, obrabował [...] pióra mu temperować! tekę za nim nosić!...” [...] Potem schylił się, podjął książkę [którą uprzednio cisnął był na podłogę], całował ją, przepraszając za swe uniesienie, przyciskał do swego serca (s. 315).

Po chwili Starzyński postanowił się jednak odegrać:

„Jak przyjadę do domu, natychmiast wrzucę w ogień i popalę wszystkie moje ballady, a jemu na złość pošlę popiół z moich ballad przez pocztę do Wilna; niech się cieszy ze swego zabójstwa.” (s. 316)¹⁷.

Życie poety, który nie czerpał stałych dochodów z kapitału lub majątku ziemskiego nie było przecież wtedy (jak i teraz) łatwe. Honoraria autorskie były mniej niż skromne. Odstąpiwszy Teofilowi Glücksbergowi prawa do druku *Mieszczanina szlachcica* Kowalski zażądał 15 rubli i dziesięciu egzemplarzy książki, natomiast Glücksberg stargował (dość komiczna to scena) na 12 rubli i pięć egzemplarzy autorskich, przy czym w owych 12 rublach mieściło się 5 wypłaconych w postaci wciśniętej Kowalskiemu innej, wydanej oczywiście przez Glücksberga, książki (s. 199).

We *Wspomnieniach* Kowalskiego rzeczywistość krzemieniecka i podolsko-wołyńska zostaje radykalnie wyidealizowana. Każda praca artystyczna była wtedy doskonała, każdy wykładowca na najwyższym poziomie etc. Pamiętnikarz ma chyba świadomość owej idealizacji, skoro przyznaje: „Może ja się w czym i myślę, to przepraszam; bo mogłem coś zapomnieć albo przeinaczyć przez 30 z górą lat” (s. 130, przypisek).

Jesień życia objawiła dawnemu dziarskiemu ułanowi swoje niewesołe oblicze, smutne jak twarz anioła z rzeźby nagrobnej w kościele w Zamiechowie, któremu Fontana nadał piękne rysy Delfiny Komarówny (s. 243). Jego późniejsze wiersze mają już bardziej refleksyjny charakter, koncentrują się na sensie przemijania, na wartości własnej egzystencji. Wiersz *Do księcia Jeremijasza W. O człowieku* porbrzmiewa wanitatywną nutą, właściwą twórcom, którzy żyli intensywnie i pracowicie, a teraz stają na brzegu przepaści z sokratejską świadomością ograniczeń własnego umysłu.

Gdy po nędzach i szumnych znikomościach świata
Zimno rozważający umysł mój przelata,

Zawsze badam, jak chciwie badał wiek za wiekiem,
 Co to jest za istota, co się zwie człowiekiem?
 Wszak pamiętasz, jakeśmy w dociekaniach śmiali,
 O tym ważnym przedmiocie często rozprawiali. [...]

 Wiemy, co w oceanie, a co nad gwiazdami,
 A nie wiemy, kto spyta, co jesteśmy sami.¹⁸

Trudno ustalić jednoznacznie, czy utwór ten jest jeszcze pogłosem dysput szkolnych, czy już późniejszych doświadczeń poety. Na pewno jednak ma wydźwięk charakterystyczny dla okresu przełomu oświecenia i romantyzmu, gdy zaczęto formułować nowe pytania, na które nie można już było udzielić odpowiedzi w kategoriach zdrowego rozumu. Zakończywszy pracę archiwisty zbiorów tulczyńskich, Kowalski zamieszkał w Czerniatynie nieopodal Baru. Latem 1862 roku wyjechał na kurację do Kijowa i tam zmarł 10 października 1862 roku.

Przypisy

- ¹ Rkps Ossol. sygn. 2267/II i 2268/II.
- ² F. Kowalski, *Fraszki*, Lwów 1839. Wyd. 2, Kamieniec Podolski 1847.
- ³ F. Kowalski, *Fraszki*, Lwów 1839, s. 105–113.
- ⁴ Tamże, s. 1. Ballada ta jest poetycką trawestacją motywu z baśni braci Grimm o trzech życzeniach, które mogą wypowiedzieć biedacy. W pierwszym życzeniu proszą o kielbasę. Gdy zostało ono spełnione, roześlony współmałżonek (u Kowalskiego to Barnaba zażyczył sobie kielbasy, u Grimmów życzenie to wypowiada żona) mówi „niech [ta kiszka] do nosa ci przyrośnie”. W trzecim życzeniu muszą więc prosić o to, by kiszka odpadła od nosa.
- ⁵ „Miłość była małżeństwa żywiołem przed laty, / A teraz, przyjacielu, wioski i dukaty.” *Fraszki*, s. 54.
- ⁶ Tamże, s. 65.
- ⁷ Tamże, s. 33 – 36.
- ⁸ F. Kowalski, *Legends herbowe*, Żytomierz 1862, s. 162.
- ⁹ Zob. R. Przybylski, *Krzemieniec. Opowieść o rozsądku zwyciężonych*, Warszawa 2003.
- ¹⁰ Zob. F. Kowalski, *Wspomnienia (1819–1823)*. Wyd. 2, Kijów 1912, s. 7. Dalsze przytoczenia ze *Wspomnień* lokalizowane będą bezpośrednio po cytacie liczbą oznaczającą stronę.
- ¹¹ F. Kowalski, *Tymon*, „Athenaeum”, Wilno 1843, t. 2, s. 158.
- ¹² Dz. cyt., Wilno 1843, t. 3.
- ¹³ Dz. cyt., Wilno 1844, s. 183.
- ¹⁴ T. Czacki, *O Żydach*, Wilno 1807.
- ¹⁵ A. Mickiewicz, *Dziady. Część IV*, [w:] tegoż, *Dziela*. Komitet Redakcyjny J. Krzyżanowski i in., t. 3 *Utwory dramatyczne*. Oprac. S. Pigoń, Warszawa 1955, s. 71.
- ¹⁶ Wartym odnotowania szczególnie jest fakt, że wszyscy uczniowie Liceum mieli nad łóżkiem „kolorowany albo tuszowany portret Czackiego” (s. 105).
- ¹⁷ Gwoli ścisłości dodajmy, że niejako równoległą rozmowę do dysputy o Mickiewiczu przeprowadził Kowalski ze swymi dawnymi profesorami z gimnazjum w Winnicy. Dowiedział się od nich

o istnieniu Seweryna Goszczyńskiego, którego stary profesor nazwał „ukraińskim Mickiewiczem” (s. 337). Pod niebiosa wynosił też Marię Malczewskiego (s. 337 i n.). Nie wydaje się możliwe, by taka rozmowa mogła toczyć się w roku 1823.

¹⁸ F. Kowalski, *Fraszki. Wydanie drugie, pomnożone*. Kamieniec Podolski 1847, s. 173–174.